

AL Leitmeritz

Obóz w Litomierzycach był filią roboczą obozu koncentracyjnego we Flossenbürgu. Nazywał się Kommando B V lub Kommando Richard. Był wówczas przepełniony więźniami przywożonymi tu ze wszystkich stron Rzeszy. W barakach drewnianych oddzielonych płotem z drutu kolczastego był także obóz kobiecy. Mężczyźni byli znacznie gorzej zakwaterowani, w starych murowanych stajniach na pięciopiętrowych pryzkach. Wszędzie było dużo błota, nawet i w tych blokach-stajniach. Praca zasadnicza była w sztolniach na dwie zmiany. Tam pracowano przy poszerzaniu tuneli podziemnych, gdzie remontowano jakieś silniki, prawdopodobnie od czołgów, i wyrabiano części do rakiet. Ruch w obozie trwał dzień i noc, bo stale wychodziły i wracały jakieś komanda do pracy i z pracy, i wtedy wydawano jedzenie.

Podzielili nas na bloki. Ja dostałem się na blok czwarty. Tam znów spisywanie numerów i przydzielanie miejsc do spania. Dostało mi się miejsce na 5. piętrze, tuż pod sufitem. Poprzednik zbudował tam coś w rodzaju psiej budki czy raczej tunelu podobnego do trumny. Boki obite kawałkami dykty i tektury, wewnątrz nieco zatechłej słomy, a wejście z okrągłym otworem, jak do psiej budy, ale zasłaniane kawałkiem dykty. Trzeba było pilnować swojego miejsca, o ile było znośniejsze, bo chętnych silniejszych było pod dostatkiem. Codziennie działy się sceny wyrzucania na siłę intruza, a później, kiedy nas jeszcze bardziej zagęszczono, nikt nie miał stałego miejsca do spania. Po prostu wracając z pracy, kładł się na pierwsze lepsze wolne miejsce i wstając do pracy zostawiał miejsce następnemu. Wszystko trzeba było nosić ze sobą, gdyż cokolwiek pozostawione, przepadało.

Po spisaniu nas, wydano nam po raz pierwszy jedzenie, cienką zupę z bruki i po kawałku chleba. Po tym posiłku, nie rozbierając się i bez mycia, rzuciłem się w słomę do spania, bo byłem z drogi rzetelnie zmęczony. Zdjąłem tylko buty i położyłem je pod głowę, bo miałem spuchnięte nogi. Od jedenaściego lutego nie ściągałem butów z nóg, a więc czwarty dzień i trzy noce.

Kiedy odespałem swoje zmęczenie, nie wiem nawet, czy to było jeszcze tego samego dnia czy następnego, wyszedłem na obóz. Z radością spotkałem Władka Kotulę, starego przyjaciela z Gross-Rosen. Dowiedziałem się, że miał szczęście wejść do obozu z grupą grossroseńskich lekarzy. Zostali przyjęci do rewiru i zatrudnieni. On razem z pułkownikiem Konopką został zatrudniony

w aptece. Leków i materiałów opatrunkowych wprawdzie mało, tyle co kot napłakał, ale jakoś szanując pracę, może się tam we dwóch utrzymają.

Postanowiłem także jakoś się zakotwiczyć w rewirze. Koniec wojny zbliżał się, nie było sensu wiele pracować dla przypadłej bez mojego udziału wielkości Niemiec. Poszedłem do rewiru na rekonesans. Z kancelarii wychodził właśnie jeden ze szreiberów. Znajoma, chyba jeszcze oświęcimska, twarz. Tadeusz? – zapytałem. Odpowiedział cynicznym pytaniem: Cóż ty nieboraku, żyjesz jeszcze? Oczywiście – odpowiedziałem – i coraz więcej chce mi się żyć! No, więc czego chcesz ode mnie? – pyta dalej – może pracy? Nie, chcę chleba i lekkiej pracy. Na którym bloku jesteś? Na czwartym. No, przypadkowo znam tego blokowego. Napisał coś na karteczce i kazał mi to oddać blokowemu, a jutro zgłosić się do niego, to coś wymyśli. Pokrótce jeszcze poopowiadaliśmy sobie nasze dzieje i poszedłem na blok.

Właśnie rozdawano na bloku nowe numery flossenbürskie. Otrzymałem nowy numer, bardzo wysoki, 87341. Nigdy go jednak nie naszyłem. Po prostu, najpierw nie było szmatki, a potem okazało się, że i inni starzy więźniowie niechętnie zmieniają swe niskie numery na nowe, jak się mówiło, milionerskie. Niektórzy nawet nosili jeszcze swe numery z Oświęcimia. Stary numer budził więcej szacunku u kolegów. Blokowemu oddałem na końcu kartkę i powiedziałem, że od jutra mam się zgłosić do pracy w rewirze. Zawołał mnie do swego pokoju, aby mnie wykreślić z komanda roboczego, gdzie byłem już zapisany do pracy. Pozostałem tam jeszcze za łaskawym zezwoleniem, bo odbywał się właśnie wieczorek kulturalny. Blokowy zdobył właśnie z naszego grossroseńskiego transportu nadwornego śpiewaka, o miłym głosie. Był nim Wojciech Dzieduszycki. Wzmocniony dodatkową brukwianką i kromką chleba, pracowicie odrabiał to szczęście, śpiewając arię za arią. A w dzień będzie sprzątał i zamiatął blok, żeby mu się ze szczęścia nie przewróciło w głowie. Każdy jakoś potrzebuje żyć.

Rano zgłosiłem się do szpitala i zostałem przyjęty do pracy jako pomocnik profesora Michałowicza. Jemu wlepiono salę niemiecką w rewirze. Ze względu na wysokość kwalifikacji i wyśmienitą znajomość języka, przydzielono mu funkcję, której nikt nie chciał się podjąć. Ale oczywiście nie był przecież w stanie wykonywać całej pflegerskiej pracy, łącznie ze ślaniem łóżek oraz sprzątaniem i zamiataniem sali. W innych salach chorych te drobne prace wykonywali ozdrowieńcy. Tu nikt nie chciał takich drobnych prac wykonywać. Tak więc spotkaliśmy się ponownie na jednej sali, jak ostatnio w Gross-Rosen. Ale zajęcie nieszczególne. Sala czysta, łóżka z czystą pościelą, a w łóżkach same wypasione łajdackie mordy kapów i blokowych z wielu obozów, z których każdy miał wielu ludzi na sumieniu. Każdy rozwała się sam w łóżku, które mu codziennie trzeba pościelić, pod czystymi puchatymi kanadyjskimi kocami, a nad nami, o piętro wyżej akurat sala polsko-rosyjskich mużłmanów, wychudzonych i wyniszczonych do ostatnich granic.

Umawiamy się z profesorem, żeby wypisywał jak najwięcej diet dla Niemców, wtedy to, co zostanie będziemy posyłać o piętro wyżej. Zgadza się pod warunkiem, że nawet my dwaj nie będziemy z tego korzystać. Z lekami nie mamy większych kłopotów. Na zlecenie podpisane przez profesora Konopka zawsze coś tam znalazł w aptece, a nadwyżki posyłałem na górę. Profesor bardzo starannie przepisywał diety ograniczone, sumiennie tłumacząc Niemcom, że to dla ich dobra, że każda nadwaga i każdy tłuszcz u człowieka jest jego największym wrogiem. Śmiać mi się chciało, jak uważnie kapowie słuchali i posłusznie wykonywali jego polecenia, jak starannie wykonywali ćwiczenia gimnastyczne i jeszcze na ten temat prowadzili między sobą dysputy. Codziennie jednak część ich jedzenia wędrowała na górę. Odbierał to jakiś wychudzony medyk krakowski. Kiedy po kilku miesiącach spotkałem go porządnie ubranego na krakowskiej ulicy, nie mogłem go poznać. Kończył właśnie studia lekarskie. Poszliśmy zaraz oblać to spotkanie, na jego koszt, bo ja byłem całkowicie goły. Był to późniejszy pułkownik lekarz dr Lechosław Bogucki, wielce sympatyczny człowiek. W dwa lata później z jego szwagrem dr. Karolem Gr. służyłem w tym samym pułku w Tarnowskich Górach i poznałem przeuroczą siostrę Lechosława.

Profesor Michałowicz w codziennym życiu był precudownym człowiekiem. Wiele starałem się od niego nauczyć, a przede wszystkim starałem się wyrównywać swój sprostaczony 5-letnim obozem sposób bycia i życia. W leczeniu oraz badaniu był nad wyraz sumienny. Nie stosował żadnego szablonu i uproszczenia obozowego. Nie zbagatelizował żadnej skargi, mimo że miał do czynienia z samymi kapami, bandytami. Nawet do nich, na prośbę profesora, sprowadzałem często dr. Fischera, którego profesor bardzo cenił. Okazało się, że i między tymi ludźmi stwierdzano nierzadko gruźlicę płuc. Wtedy poznałem bliżej dr. Fischera z Zakopanego i często później do niego zachodziłem na naukę. Była to istna szkoła fizykalnego badania, jakiej nigdy przedtem nie miałem podczas studiów. Miał na oddziale swoim klasyczne przypadki gruźlicy w różnych stadiach chorobowych. Od niego po raz pierwszy w życiu nauczyłem się wysłuchiwanie „spadającej kropli” przy jamach gruźliczych, za pomocą zwykłego drewnianego stetoskopu.

Od tych dwóch wspañałych lekarzy, starszego ode mnie pokolenia, nauczyłem się wiele przez te dwa ostatnie miesiące moich obozów. Przede wszystkim ludzkiego prostego, medycznego sposobu myślenia. W pierwszych latach powojennych jeszcze kilka razy odwiedziłem dr. Fischera w Zakopanem. Ostatni raz ze zdjęciami mojej starszej córki, zaniepokojony orzeczeniem miejscowego radiologa, które on zinterpretował w całkiem inny sposób, i uspokoił moje obawy.

Profesor Michałowicz brał mnie do każdego badania i każde rozpoznanie głośno uzasadniał podkładem naukowym. A poza tym bardzo lubił naukowe pogawędki. Zaczynał od listków zarodkowych i mezenchymy i powtarzał, że

mezenchyma jest tym dla rozwijającego się organizmu, czym owies i siano dla konia, tylko że wszystkie konie to rozumieją, a lekarze nie wszyscy. Kiedy po wojnie spotkałem go w Katowicach, na szkoleniowym wykładzie dla lekarzy, podszedłem do niego na końcu. Poznał mnie zaraz, ucieszył się i uściskał, i pytał jak się podobał wykład. Powiedziałem, że chcę się trochę upodobnić do konia, ale nie bardzo mi to wychodzi. Zastanowił się, a potem stuknął się palcem w głowę i powiedział: A jednak coś ci zostało! Drugi raz spotkałem go w Warszawie z początkiem 1947 roku. Miałem wtedy powołanie do wojska. Natychmiast wybrał się ze mną do Ministra Zdrowia dr. Michejdy, aby mnie reklamować i chciał mnie zatrudnić w swojej klinice. Ja jednak z wielu przyczyn życiowych nie chciałem wówczas odraczać w nieskończoność służby wojskowej.

Nawet w obozie profesor Michałowicz prowadził niezmiernie pracowity tryb życia i bardzo systematyczny. Wszystko działało się o swojej porze. Badania, obchód lekarski dwa razy dziennie, w południe spacer pod ścianą rewirowego bloku z dr. Sztabą, Mąkowskim lub dr. Nowakiem, a wieczorem godzina prywatnego rozmyślenia. Wtedy profesor rysował plany swojej farmy kurzej, w czym mu nie wolno było przeszkadzać. Praca uszlachetnia, zwykł był mówić.

Obóz w Litomierzycach przypominał najbardziej zaniedbane targowisko z małego wschodniopolskiego miasteczka. Masy błota i tłumy ludzi depczących bez celu w tym błocie. I stare stajnie służące za mieszkania. Wysokie jak hale targowe i wypełnione w dzień i w nocy oberwanym tłumem wynędzniałych różnojęzycznych muzułmanów przeróżnie odzianych. Rano i wieczorem jedne komanda wychodziły do pracy, inne wracały z pracy, stąd o każdej porze, gdzieś wydawano jedzenie. Poza tym ciągle, codziennie o różnych porach dnia, przychodziły jakieś nowe transporty więźniów. Widziałem raz grupę trzydziestu więźniów, przybyłych transportem pieszym z Buchenwaldu. Wychudzeni, zarośnięci, ledwo trzymający się na nogach. Czekali na przyjęcie do rewiru. Opowiadali, że przed trzema tygodniami wyszło ich ponad 1000 z Buchenwaldu. Postów było około 200. Bezcelowo błakali się, mając wrażenie, że esesmanom to odpowiadało, aby się wykpić od ewentualnego skierowania na front. Reszta zginęła po drodze. Początkowo dobijali wszystkich, potem chorych pozostawiali po wsiach, po stodołach, ale co tam z nimi zrobiono nie wiedzą. Żywili się tylko tym, co dostali od ludzi po drodze. Przeważnie surową brukwią i kartoflami.

W Litomierzycach jedzenie także było bardzo liche; jak powiedziałem nie braliśmy z profesorem Michałowiczem nic do jedzenia po kapach. Coś jednak jeść trzeba było. Między obozem męskim a żeńskim były kopce z kartoflami. Było specjalnie wydzielone komando jeńców radzieckich do pilnowania tych kopców. Dowiedziałem się o tym dopiero w kwietniu. Byli to ostatni jeńcy radzieccy, którzy uchowali się jeszcze z dawnego obozu jeńców wojennych

w Gross-Rosen. Ich starszym był Iwan, ostatnio z komanda Dyhernfurth II. Kiedy mnie spotkał, przyniósł mi kilka kartofli. Zaniósłem je do apteki, gdzie Kotula z Konopką ugotowali je i przyrządzili. Od tego dnia Władziu Kotula potajemnie codziennie przygotowywał mi ćwiartkę spirytusu, sporządzonego z salicylowego, po strąceniu salicylu za pomocą natrium bicarbonicum, a ja przehandlowywałem to z Iwanem za czapkę kartofli. Potem jednak spirytus salicylowy się skończył. W aptece nie było nic. Zamiast materiałów opatrunkowych przywieziono aż z Pragi tzw. pakiety porodowe. Było tam parę opakowań papierowych, 1 opaska płócienna, paczka waty, paczka ligniny, paczuszka gazy, tasiemka, 200 ml sagrotanu oraz 200 ml denaturatu. Iwan nie dawał mi spokoju. Konopka miał pewne opory moralne, więc uprzedziłem Iwana i handel szedł dalej. Był głód nawet wśród pracujących pod dachem i w rewirze.

W obozie kobiecym w Litomierzycach byłem tylko jeden raz ze szrajberem Tadeuszem z rewiru. Spotkałem go i zawołał, żeby mi pomógł zanieść jakieś lekarstwa w paczkach. Musiało tam być i coś do jedzenia, bo więźniarki, które go znały, cieszyły się i mówiły, że już im żołądki do krzyża poprzyrastały. Widok muzułmanek kobiet jest znacznie przykrzejszy niż mężczyźni. Wracaliśmy w milczeniu. Mówiłem mu tylko, że przez jeńców radzieckich można by było tam po prostu przez płot przetrzucać kartofle. Powiedział tylko: wiem, ale esesmani pilnują. Więcej tam nie byłem. Nie wiem nawet, lub nie pamiętam, czy pracowały, ile ich tam było itd.

Od kwietnia w obozie jeden raz dziennie podawano niemieckie komunikaty wojenne – das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt... Na blokach u blokowych pojawiły się odbiorniki radiowe. Skąd i jak się wzięły, nie wiem. Nawet specjalnie się z tym nie kryli. Wszyscy już wiedzieli, że klęska Niemiec jest nieuchronna, ale dla nas szło to wszystko jeszcze o wiele za wolno. Wiadomości frontowe przenikały dość prawdziwe do obozu. Wiedzieliśmy, że już prawie cała Polska jest wolna, że już jest polski rząd, że Wojsko Polskie bije się na Wschodzie i Zachodzie. W obozie terror wyraźnie zmalał. Blokowi powoli robili się jak baranki. Już prawie nie spotykało się bijących kapów. Spotykali się więźniowie różnych obozów: Oświęcimia, Majdanka, Płaszowa, Monowic, Blachowni, Buchenwaldu, Mauthausen, Dachau. Jedyne o bar-dziej na zachód położonych obozach, jak Ravensbrück i Bergen-Belsen jeszcze niewiele wiemy. Nasza wiedza o obozach wyraźnie się poszerzała.

Naloty lotnicze na okolice w Sudetach od marca stały się bardzo częste. Nie były to naloty dywanowe, masowe, jak na Drezno 13 lutego, czego byliśmy świadkami, ale często bywało po kilkadziesiąt samolotów alianckich. Naloty odbywały się przeważnie w dzień około południa i samoloty nadlatywały od strony południowej. Czasem obóz podczas nalotów oznaczano w dzień bombami dymnymi, a w nocy czerwonymi światłami na spadochronach, tzw. choinkami. Obóz sam nie był nigdy atakowany. Z tego względu esesmani w czasie nalotów masowo chronili się z koszar w naszym obozie.

Nas sanitariuszy podzielono na trzy komanda. Podczas nalotu jedna część pozostawała na miejscu w obozie w pracy, druga część szła w pola, poza obóz, oczywiście pilnowana przez esesmanów, a trzecia część szła do sztolni, rzekomo dla zabezpieczenia tam pracujących. Ja byłem cały czas w grupie drugiej – polnej. Dwa razy zamieniłem się jednak z kolegą i poszedłem do sztolni z ciekawości. Najprzyjemniejsze, ale i najniebezpieczniejsze było komando polowe. Wiosna w Sudetach przychodzi wcześniej. W kwietniu są już duże trawy i rzeczywiście wszystko kwitnie. Można się tam było wylegiwać na trawie, ale trzeba było bardzo dobrze się chować. Każdy nalot poprzedzała penetracja samolotów myśliwskich, przeważnie Moskito, które nadlatywały nagle i niespodziewanie na niskich wysokościach i każdy podejrzany krzaczek okładano ogniem karabinów maszynowych. Niemieckie samoloty nie pokazywały się już wcale. Raz tylko widziałem uciekającego tuż nad ziemią myśliwca niemieckiego. W powietrzu panowali już bezapelacyjnie alianci. W czasie dyżurów w sztolni prowadzono nas do dużej hali podziemnej, tzw. kantyny czy też stołówki. Była to duża sztolnia, wysokości około 5 metrów i średnicy około 30 metrów, wykuta w litej skale. W różne strony rozchodziły się korytarze i tam było słychać stukot maszyn i hałas fabryczny, ale tam nie wolno nam było wchodzić. To było w oddaleniu około 600 do 700 metrów od wejścia. Wejście było tylko jedno i tamędy pod ziemię wjeżdżały pociągi z maszyną spalinową. Podczas drugiego pobytu w sztolni, a było to już w ostatnich dniach kwietnia, widziałem jak więźniowie zdejmowali z wagonów skrzynie z napisem „Achtung – Sprenggefar!” i układali je pod ścianami wjazdu do sztolni oraz wewnątrz korytarza wejściowego. W tych sztolniach można było pomieścić tysiące ludzi, a wejście było tylko jedno. Zналиśmy już Niemców, wiedzieliśmy do czego są zdolni i byliśmy pełni obaw.

W obozie mówiło się już otwarcie, że sztolnia jest podminowana i istnieje plan wysadzenia nas tam w ostatniej chwili. Pod koniec kwietnia przestały już przychodzić transporty z innych obozów. 22 kwietnia wyszedł w transport do Dachau dr Mazurek z naszej grupy grossroseńskiej wraz z innymi wybranymi więźniami. Takie transporty odchodziły z obozu jeszcze do ostatnich dni. Rozmyślaliśmy nad tym i dochodziliśmy do wniosku, że to są transporty dla wykończenia świadków lub niebezpiecznych dla Niemców ludzi. Tak też słusznie rozumował dr Mazurek i jeszcze na terenie Czech uciekł z transportu i ukrywał się do wyzwolenia. Jak inaczej można było traktować te wybierane transporty do ostatniej chwili, kiedy już nawet transport kolejowy był niepewny.

Uciekali także już pojedynczo więźniowie. Niemcy nawet starali się ukrywać przed nami te fakty. W każdym razie nie było żadnych poszukiwań, przeciągających się apeli itd. O faktach tych dowiadywaliśmy się przypadkowo.

W związku z taką ucieczką miałem pewną przygodę. Pewnej nocy, a było to ostatniego kwietnia 1945 r., usłyszałem, że ktoś w nocy włazi do mojej „budki” do spania i na tle otworu wejściowego widzę coś co przypomina

lufę. Podciągnąłem nogi i wrzasnąłem. I usłyszałem znajomy głos: Tisze bladź! Tisze! Eto ja Iwan! Struchlałem. Włazł do mnie na górę z pepeszą. Pierwszy raz widziałem tę broń z bliska. Zresztą, gdyby nie ta broń, nie uwierzyłbym mu. Opowiedział mi, że uciekł kilka dni temu z obozu. Jest teraz w partyzantce rosyjskiej w okolicy. Wrócił po kilku swoich towarzyszy. Ale jutro jest 1 maja i potrzebuje koniecznie alkoholu. Wstawaj i idź do swojego Kotuli, niech daje chociaż litr denaturatu. Inaczej pójde ja i jak nie da, to... Moi ludzie dostarczać wam będą codziennie kartofle. Załatw to szybko! No, stary druch, nie boj sia!...

Tak i poszedłem, zbudziłem Kotulę. Nie miał ani kropli niczego, tylko denaturat w aptece. Ale trzeba zgody Konopki, bo on ma klucze. Konopka jednak bał się i nie chciał rozmawiać, ale w końcu dał klucze. Także powiedział Władkowi, gdzie jest jeszcze spirytus salicylowy. Przecież oni potrują się denaturatem! Znaleźliśmy jeszcze około 700 gram spirytusu salicylowego. Kotula zasypał to garścią sody i po dobrym potrząśnięciu zabrał się do sączenia. Ja rozpakowałem dwa pakiety porodowe i dołączyłem oddzielnie denaturat. Zabrałem to wszystko i poszedłem. Iwan już się bardzo niecierpliwił. Pociągnął spory łyk dobrego alkoholu, przerobionego z salicylowego i powiedział, że jeśli chcę, to może w inną noc przyjść po mnie i wyprowadzić mnie z obozu. Ale nie zgłosił się więcej. Jego ludzie dostarczali nam jednak regularnie kartofle w plecaku.

Inne takie spotkanie miałem już 10 maja na dworcu głównym w Pradze. Wysiedliśmy właśnie z wagonów, nie wiedząc, gdzie się zwrócić do Czerwonego Krzyża, kiedy podbiegł do mnie jakiś żołnierz, dziwnie ubrany, wołając: Kazik, jak się masz. Nie wiedziałem, kto to jest. Przedstawił się jako Kazik z rewiru. O nazwisko nie pytałem, ale twarz znajoma. Miał na sobie buty z cholewami, żółty kombinezon i tropikalny hełm oraz karabin i dwa medale na piersiach. Jego kolega, którego mi przedstawił jako Mietka, też z Krakowa, był bardzo wysoki i miał wszystko to samo, tylko kombinezon miał granatowy i tylko jeden medal. Powiedział, że przed kilku dniami uciekli z obozu. Spotkali partyzantów czeskich. Poszli razem. On zabił kilku Niemców, to ma dwa medale. Koledze udał się tylko jeden strzał, więc ma tylko jeden, żartował. Teraz jako powstańcy służą w oddziale ochrony dworca, ale za kilka dni zorganizują pociąg do Krakowa. Pokazali nam, gdzie jest punkt Czerwonego Krzyża.

Z rewiru w Litomierzycach niewiele mogę opowiedzieć. Po prostu byłem przydzielony do pomocy profesorowi Michałowiczowi i nie mogłem go zostawić samego. Poza tym zachodziłem jedynie do apteki, na oddział gruźliczy, do laboratorium i do doktora Popka. Lekarzem naczelnym spośród więźniów był radziecki lekarz, jeniec wojenny. Jeden raz tylko z nim rozmawiałem, kiedy zaszedłem do niego z naszym Griszą Pietrowem z Dyhernfurthu, w sprawie przyjęcia go do pracy w szpitalu. Byłem także jeden raz w sali

zabiegowej, przy operacji resekcji żebra. Z moich pobieżnych obserwacji wynika, że lekarzy więźniów było bardzo dużo i na ogół zatrudniano ich wszystkich w szpitalu.

Nie znałem zupełnie lekarzy esesmańskich. Po prostu unikałem ich, a do naszego budynku nie przychodzili zupełnie, widywałem ich tylko z daleka. Zresztą to było zjawisko zupełnie zrozumiałe. Pod koniec wojny wszyscy starzy więźniowie, którzy byli świadkami wielu nieludzkich rzeczy w obozach, unikali spotkania z tymi, którzy ich mogli poznać i postarać się o usunięcie jako niepotrzebnych świadków. Dopiero po wojnie, podczas sądowego przesłuchania w sprawie dr. Willi Jobsta, SS-Hauptsturmführera i Lagerarzte w Gross-Rosen, na zlecenie władz sądowych czechosłowackich, dowiedziałem się, że on nie odszedł na front z Gross-Rosen, ale do obozu koncentracyjnego we Flossenbürgu i był potem Lagerarzt w Litomierzycach. Ja go tam w każdym razie nie spotkałem, ani o tym nie wiedziałem.

Pod koniec kwietnia 1945 r. mówiło się wiele o przygotowaniach do wysadzenia sztolni, być może razem z nami. Kilka dni po zajęciu Hamburga przez aliantów mówiło się, że radio Hamburg podało ostrzeżenie dla naszego Lagerführera Untersturmführera Painkego, który zresztą był także przedtem w Gross-Rosen, że w Hamburgu aresztowano całą jego rodzinę jako zakładników, w razie gdyby cokolwiek stało się z więźniami. Ja sam tego nie słyszałem, ale opowiadali koledzy godni zaufania, którzy twierdzili, że słyszeli to na własne uszy. Potem nadeszła wieść o śmierci Hitlera i zdobyciu Berlina przez radzieckie i polskie wojska. Twarze wszystkich więźniów stały się radosne. Teraz z godziny na godzinę oczekiwaliśmy końca wojny. Ale te godziny włożyły się niesamowicie. Od 5 maja komanda przestały chodzić do pracy. Radzono i politykowano w każdym punkcie obozu. Na blokach już całkiem oficjalnie słuchano radia.

7 maja w południe poszukiwano wszystkich, którzy umieją pisać na maszynie. Pisali oni przez całe popołudnie i noc blankiety zaświadczeń o zwolnieniu z obozu. Następnego dnia, tj. 8 maja, po śniadaniu i apelu poinformowano nas o zwolnieniu do domu i likwidacji obozu. Początkowo mówiono, że jedynie obsługa chorych w szpitalu pozostanie nadal przy swoich chorych.

Do bramy podchodzili więźniowie najpierw blokami, a potem po kolei, jak kto stawał. W bramie stał stolik ze stosami wydrukowanych zaświadczeń. Jedni z pisarzy wpisywali tylko nazwisko, datę i miejsce urodzenia i zamieszkania, inni stemplowali pieczęcią obozową i za bramę wychodzili wolni. Zaświadczenie miało następujące brzmienie:

Sicherheitspolitzei. Kdo B. V O.U. (Ort Unbekannt). Den 8 Mai 1945 J. Bescheinigung: Der geb. am wurde auf Anordnung der Kommandantur der Kdo B.5. und Sicherheitspolitzei entlassen. Er ist angewiesen am kürzesten Wege seinen Heimatsort zu erreichen.

Zwolnionych ustawiano w setki i każdą setkę zwolnionych odprowadzał do mostu na Łabie jeden esesman. Łaba była granicą protektoratu Czech i Moraw i III Rzeszy. Ale kiedy jedni ze zwolnionych wrzucili esesmana całkiem po prostu z mostu do rzeki, następnych aż do końca odprowadzano do mostu w konwoju, pod strażą uzbrojonych esesmanów. Tak trwało aż do południa.

Przyglądaliśmy się temu z zazdrością, ale postanowiliśmy wytrwać przy chorych i nikt się nie wyłamywał. Ale kiedy skończyło się już zwalnianie więźniów, zajęchały pod rewir dwa auta ciężarowe i wysadzono z nich około 20 lekarzy czeskich, cywilów pozbieranych gdzieś prosto ze szpitali. Wszyscy byli w białych kitlach, niektórzy ze słuchawkami na szyi i w kieszeniach. Przywieziono też jeszcze większą grupę pielęgniarek, tak samo w odzieży ochronnej. Nam polecono natychmiast zebrać się i wyruszyć w drogę. Niczego nikomu nie zdawaliśmy. Nie wiem, czy z kierownictwa więzińskiego rewiru pozostał ktoś w obozie, czy odeszli wszyscy. Było nas wychodzących około półtorej setki. W pierwszej czwórce maszerował nasz senior obozowy profesor Michałowicz i śpiewał z nami, całą pierś, „jeszcze Polska nie zginęła”, śmiał się i płakał razem z nami. Była niesamowita radość. Czekałem na nią 1693 dni.